

## LISTA KISIELA

Felieton Stefana Kisielewskiego składał się jedynie z 40 nazwisk dziennikarzy, żadnych dopisków, żadnych komentarzy. I tak wszyscy wiedzieli, że chodzi o propagandystów



TOMASZ  
BORÓWKA

**d**o rąk czytelników trafia nowy numer „Tygodnika Powszechnego”, datowany na 2 grudnia 1984 roku. Wielu z nich ma zwyczaj rozpoczynać lekturę od felietonu Stefana Kisielewskiego z cyklu „Widziane inaczej”. W związku z tym nieraz pierwszym ich wrażeniem jest... rozczarowanie, bo PRL-owska cenzura na teksty Kisielewskiego ma oko od dawna i bywa, że zdejmuje je w całości. To już czasy, gdy można wpisać słynną notkę „Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 1 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983 Dz. U. Nr 44, poz. 204)”, za pomocą której bezradna redakcja informuje o ingerencji cenzora.

Jednak tamtego dnia felieton Kisielewskiego ukazuje się w całości. Zatytułowany „Moje typy”, przejdzie do historii polskiego dziennikarstwa i w pewien sposób sam tę historię napisze. Bo też polskich dziennikarzy dotyczy – czterdzieścioro z nich, o powszechnie znanych nazwiskach z telewizji, radia, partyjnej prasy. Jak Broniarek, jak Guz, jak Bilik, Boniecka, Safjan, Podkowiński, Tepli, Woźniak. Wreszcie jak Urban. „Moje typy” zawierają jedynie nazwiska. I to wszystko. Ani słowa komentarza.

– „Lista Kisielewskiego” to publikacja specyficzna, zawierająca zakamuflowaną treść – tłumaczy dr hab. Cecylia Kuta, naczelniczka Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie. – Kisielewski wymienił nazwiska 40 osób związanych z ówczesną ekipą rządzącą. W jego opinii osoby te szczególnie angażowały się w szerzenie komunistycznej propagandy i wykazywały się służalczą wobec systemu. W ten sposób Kisielewski zareagował na ówczesne propagandowe posunięcia władzy – dodaje historyczka.

Choć historycy nie lubią prostych analogii – wszak świat się zmienił – warto już tutaj wprowadzić słowa Jerzego Kisielewskiego, syna Stefana, także dzienni-



karza: – Jesteśmy w takim momencie, że każdy z nas, jeśli nie na papierze, to w głowie ma taką listę nazwisk dziennikarzy, którzy nie są wiarygodni; osób, które sprzeniewierzyły się idei rzetelnego dziennikarstwa – mówi nam Jerzy Kisielewski.

#### **ŻART Z PODWÓJNYM DNEM**

„Tygodnik Powszechny” miał znacznie szerszy krąg czytelników, niż wynikałoby to ze sprzedaży. Pomimo ograniczeń nakładu egzemplarze „TP” często przekazywano sobie z rąk do rąk niczym prasę drugiego obiegu. W rezultacie „Moje typy” nabrały charakteru wirala swoich czasów. Stały się żywą do dziś legendą, opowieścią o tym, jak Kisielewski jednym felietonem podsumował reżimowe media i jak jednym felietonem wstrząsnął dziennikarskim światkiem, wystawiając do wiatru cenzurę.

– Pamiętam, jaka to była sensacja – wspomina prof. dr hab. Rafał Habielski z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. – A byłem wtedy młodym człowiekiem, zaraz po studiach. Na felieton Kisielewskiego wszyscy zwracali uwa-

Dlatego jego teksty były czytane ze szczególną uwagą – mówi historyk.

Mariusz Urbanek, autor książki o Stefanie Kisielewskim, twierdzi: – To był klasyczny żart z podwójnym dnem. Prawdziwy felieton to po równo treść i forma. To znakomicie widać w „Moich typach”. Teoretycznie treść jest taka, że Turowicz nie powinien za taki felieton zapłacić, bo za co: za listę kilkudziesięciu nazwisk? Ale właśnie forma i tytuł załatwiały treść. „Moje typy” to tytuł bardzo dwuznaczny. Może oznaczać „Mój wybór” i zostawiać czytelnikowi do zastanowienia się: OK, wybór, ale według jakich kryteriów, do jakich zadań, za jakie zasługi? I to było dość jednoznaczne, łatwo było się tego domyślić, czytając nazwiska, które się na tę listę składały. Ale słowo „typy” ma jeszcze inne znaczenie, które od razu przychodzi na myśl. Typ to przecież „typ spod ciemnej gwiazdy”, „nieciekawy typ”, „z takim typem lepiej się nie zadawać”. I wtedy lista nabiera innego wymiaru – dowodzi Urbanek.

Przekonuje też, że „Lista” nie była jednak prostą kpiną z cenzury: – Cenzura wbrew pozorom nie składała się z samych kretynów, którzy nie potrafili czytać

**„Cynicy zupełni, nie ma co ich rugać, bo na wszystko z góry przystają – tak to jest w tej Polsce, nie ma wrogów, nie ma demonów, tylko małe kariery, oportunistów i – brak innego wyjścia” – pisał Stefan Kisielewski**

gę. Wydrukowało go przecież oficjalnie ukazujące się czasopismo i nie został zdjęty przez cenzurę.

– „Lista Kisielewskiego” stanowiła krzyk rozpaczy, była formą protestu autora przeciwko cenzurze, która zdejmowała mu felieton za felietonem – uważa Michał Ogórek, który za czasów PRL skutków cenzury doświadczył osobiście.

Kisielewski wymyślił więc taką formułę tekstu, którego nie można było ocenzurować. W felietonie „Moje typy”, którego jedyną treść stanowiły nazwiska, nożyczki cenzora nie miały czego ciąć. – Cenzura w dużej mierze wpłynęła na formę tekstu Kisielewskiego z 1984 roku. Należał do grona najbardziej wycinanych przez nią autorów „Tygodnika Powszechnego” – przypomina dr hab. Marcin Zaremba, historyk z Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

I krótko kreśli sylwetkę Kisielewskiego: – Był osobą wyjątkową. Człowiekiem renesansu. Kompozytorem, krytykiem muzycznym, prozaikiem, felietonistą, osobą o wielu talentach, wyjątkowej inteligencji, ciętym języku, doskonałym piórze. A do tego człowiekiem zasadniczym i pryncypialnym, od samego początku do końca konsekwentnie antykomunistycznym. Nie było wielu takich w Polsce Ludowej. Cenzura, a także Wydział Prasy i Wydział Propagandy Komitetu Centralnego PZPR, traktowały go jako wroga politycznego.

między wierszami, więc nie można powiedzieć, że puściła ten felieton, bo nie zrozumiała, o co Kisielewskiemu chodziło, albo sądzić, że nie mogła go zatrzymać, bo jak się przyczepić do tytułu i listy nazwisk? Nie takie rzeczy były cenzurowane pod byle pretekstem. Nawet wiersze mogły zagrażać sojuszowi z ZSRR.

Biograf Kisielewskiego jest zdania, że cenzura przyzwoliła na publikację „Listy” w „Tygodniku Powszechnym”, gdyż felieton ten wpisywał się w definicję wentyla bezpieczeństwa, stosowanego w PRL zabiegu socjotechnicznego, dzięki któremu można było nieco obniżyć napięcia społeczne.

#### **DZIENNIKARZE? A NIECH ICH SZLAG!**

Kisielewski już wcześniej nie był najlepszym zdaniem o kondycji polskiego dziennikarstwa. Jego „Dzienniki”, pisane do szuflady od późnych lat 60. do wczesnych 80., roją się od gorzkich uwag pod adresem zarówno środowiska, jak i konkretnych osób. „Nikogo tak nie nienawidzę, jak naszych dziennikarzy – przykład polskiego sprytu i braku skrupułów, oportunistów i tchórzostwa. A niech ich szlag!” – tak dawał upust swej pogardzie wobec branży 12 lipca 1969 roku. Niektórych zaś autorów wprost obrzucał wyzwiskami. „Zdolny to dziennikarz, choć kurwa” – tak skwitował 6 września 1970 Aleksandra Ro-  
wińskiego. „(...) myślę, że najlepszych dziennikarzy – re- →

porterów mają dziś Niemcy i Amerykanie. A my mamy propagandowe gówny w postaci Górnickiego” – zapisał z kolei 13 października 1972 roku. Stawiał też celne diagnozy: „Rozmawiałem z dziennikarzami z »Trybuny Ludu« (Luliński), cynicy zupełni, nie ma co ich rugać, bo na wszystko z góry przystają – tak to jest w tej Polsce, nie ma wrogów, nie ma demonów, tylko maleńkie karierki, oportunizm no i – brak innego wyjścia” (25 czerwca 1971 roku).

Uważna lektura „Dzienników” skłania do refleksji, że Kisielewski w swoich wyrzutach czynionych dziennikarzom nie zatrzymywał się jedynie na uznawaniu ich za propagandystów tej czy innej PRL-owskiej ekipy. Ot, choćby wpis z 8 grudnia 1969 roku: „Są to przecież absolutne automaty do robienia rosyjskiej polityki, ale czy oni zdają sobie z tego sprawę? W każdym razie puszą się tak i pozują, jakby sami wpadli na te wszystkie myśli, życiem przepisane z »Prawdy«, tyle że opowiedziane własnymi słowy. (...) Czy oni zdają sobie sprawę, że po prostu chodzi o to, aby oddać w przyszłości całą Europę w ręce Ruskich? Bo jeśli zdają sobie sprawę, to straszne z nich łobuzy bez czci i wiary”. W podobnym duchu Kisiel wypowiadał się w „Dziennikach” niejednokrotnie. Także 29 grudnia 1968 roku: „Tacy »publicyści« jak Górnicki, Krasicki, Jaszucki to są w istocie polskie pionki na szachownicy sowieckiej propagandy”.

Ile racji było w tych tezach? Czy serwilizm wobec reżimu Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego rzeczywiście równał się zaprzędanu Moskwy i służbie rosyjskiej racji stanu?

– Nie da się ukryć, że szczególnie w okresie stanu wojennego tych, którzy pisali w dziennikach czy tygodnikach opinii, albo do części prasy specjalistycznej, na przykład wojskowej, rzeczywiście można określić jako służących Moskwy – uważa dr hab. Sebastian Ligarski, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych w Szczecinie. – Stan wojenny generalnie był postrzegany jako zdarzenie, które powstrzymało wszelkie możliwe ruchy wolnościowe czy niepodległościowe w Polsce i jako takie działało na korzyść Kremla. W związku z tym część środowiska opozycyjnego uważała, że jest to służenie Sowietom.

Podobnie myśli Mariusz Urbanek: – Wtedy to było zbyt oczywiste, żeby wymagało dodatkowego uzasadnienia. Ktoś, kto na odpowiednio wysokim poziomie albo grzebiąc w świadomości Polaków, służył zainstalowanemu przez Sowietów reżimowi, choć wcale nie musiał tego robić, służył niepolskim interesom. Partyjni funkcjonariusze, w tym najważniejsi publicyści, byli w najlepszym przypadku w sytuacji podwójnej lojalności. Konradów Wallenrodów na „Liście Kisielewskiego” raczej nie było.

– Można to uogólnić w tym sensie, że skoro dziennikarze z listy służyli komunizmowi, służyli też pośrednio interesom rosyjskim, sowieckim. Ale nie traktowałbym tego w sposób bezpośredni. To była służba systemowi poprzez konformistyczne dziennikarstwo. Cho-

dzi o dziennikarzy wysługujących się władzy – tonuje prof. Rafał Habielski.

– Rzucone przez Kisielewskiego oskarżenie o służbę interesom sowieckim jest bardzo surowe, ale rozumiem jego złość i irytację wobec głupot, jakich pełno było wówczas w polskich mediach – przyznaje dr hab. Marcin Zaremba. – Jednak pytanie o to, czy każde pisanie po linii, każdy dziennikarski serwilizm, był od razu pisanem po linii Kremla, jest trudne. Teraz nie ma wątpliwości, ale za PRL tak tego nie postrzegano – dodaje.

Do 1989 roku Moskwa była centrum świata socjalistycznego i stolicą imperium. W polityce międzynarodowej stanowiła punkt odniesienia trudny do zaniegowania, serce układu, który wydawał się stabilny. Godził się z tym sam Kisielewski, samemu nieraz głosząc tezy kontrowersyjne czy wręcz nieakceptowalne dla środowisk niepodległościowych.

– W bardzo dramatycznym tekście, który kiedyś opublikował – „Komu potrzebna jest Polska” – napisał, że ten bękart Stalina i Jałty wbrew pozorom i wbrew utracie Wilna i Lwowa jest zupełnie udanym dzieckiem, o które trzeba dbać. Dlatego na różnych etapach chwalił a to Gomułkę, a to Gierka („W ogóle sympatycz-

## **Gdy Kisiel opublikował swoją „Listę”, czynni zawodowo byli dziennikarze, którzy podejmowali pracę w latach 50. Wśród nich i tacy, którzy uważali, że bronią kraju przed anarchią, a w Solidarności upatrywali zagrożenia dla Polski**

ny ten Gierek”), choć z czasem wypowiadał im kredyt i stawał się przeciwnikiem numer jeden. Bo szkodzili Polsce, a mogli chociaż nie szkodzić – przyznaje Mariusz Urbanek.

Kisiel posuwał się nawet do formułowania utopijnych idei politycznych: jak tych o dogadaniu się z Kremlem (i Bonn) ponad głowami polskich komunistów, w czym upatrywał szansy na uzyskanie przez Polskę pewnych swobód bez wyłamywania się z sowieckiego bloku. Skoro tego rodzaju mrzonki proponował niezależny (na miarę istniejących nad Wisłą możliwości) „reakcjonista”, to jak tu się dziwić całej rzeszy niekoniecznie zdolnych do geopolitycznej refleksji dziennikarzy?

### **ZAANGAŻOWANI I WIERNI**

– W latach 70. było wielu takich, którzy po prostu zaakceptowali socjalizm w wydaniu Gierka i dlatego pisali w tonie, który dziś odbieramy jako serwilistyczny. Fakt, że niejedni z nich nie grzeszyli rozumem, a wielu po prostu chodziło o pieniądze czy inne korzyści oferowane przez system – mówi dr hab. Marcin Zaremba.

A jak było w latach, gdy Kisiel opublikował „Moje typy”? Czy propagandyści Jaruzelskiego wierzyli jeszcze w to, co mówią i piszą, czy też chodziło już wyłącznie o karierę i związane z nią osobiste profity?

– Do zawodu trafiali ludzie, których trudno nazwać dziennikarzami, gdyż byli raczej PRL-owskimi propagandystami. Do tej właśnie grupy – obok twarzy znanych z TVP, szczególnie z „Dziennika Telewizyjnego” i jej politycznych programów publicystycznych – należało wiele osób, które wymienił Kisiel – wyjaśnia dr hab. Zaremba. I wylicza, czym władza kusila ludzi mediów: wysoką wierszówką, własnymi programami publicystycznymi, nagrodami finansowymi, pozycją społeczną.

Kwestia poprawy warunków materialnych dziennikarzy stanęła nawet na posiedzeniu Biura Politycznego w 1971 roku. Ekipa Edwarda Gierka bowiem uznała, że dziennikarzy nie wystarczy tylko wychowywać i szkolić. Efektami partyjnego wychowywania polityrucy nie byli zachwyceni, choć przecież były one widoczne. Nawet kilkanaście lat po nasiadówce u Gierka w sprawie dziennikarzy – gdy Kisiel opublikował swoją „Listę” – czynni zawodowo byli dziennikarze, którzy podejmowali pracę w latach 50. Wśród nich zaś zdarzali się i tacy, którzy uważali, że bronią kraju przed anarchią, przed szowinistami i awanturnikami, a w późniejszej Solidarności upatrywali zagrożenia dla Polski. Był to plon polityki władz, wdrożonej jeszcze w czasach stalinizmu. Wprowadzono specjalny dobór na studia dziennikarskie, gdyż władza chciała, by dziennikarzami zostawali ludzie o specyficznym, szczerze ideologicznym podejściu do socjalizmu. Mieli być zaangażowanymi politycznie aktywistami, wiernymi wobec systemu. Efekty tego dawały o sobie znać przez dziesięciolecia.

– To byli ludzie jednoznaczni w swoich ocenach i przekonani o ich słuszności – wspomina Wojciech Domagała, były redaktor Telewizji Katowice. – Indoktrynacja pokolenia Związku Młodzieży Polskiej musiała być na tyle skuteczna, że mimo upływu lat pozostawał po niej jakiś osad w ich umysłach. Dawało to o sobie znać także na zebraniach redakcyjnych. Ale wśród moich rówieśników i osób młodszych takich ludzi z autentycznym przekonaniem do PRL już nie było. Koniunkturaliści, którzy opowiadali tego typu bzdury z wyrachowania, z chęci kariery, to jednak inne zjawisko. Takie postawy nie wynikały już z przekonania.

Dr hab. Ligarski jest zdania, że jedno nie wykluczało drugiego. – Wielu z tych ludzi działało pod wpływem motywów ideologicznych, ale zarazem powodował nimi cynizm – mówi. – Koronnym przykładem był Jerzy Urban. Byli beneficjentami tego ustroju. Doskonale wiedzieli, że służba systemowi pozwala im osiągać wymierne korzyści. Tak materialne, jak i ambicjonalne, bo przecież także chodziło tutaj o poczucie przynależności do elity, o upajanie się władzą nad innymi. Trzeba pamiętać, że wielu z tych ludzi było członkami komisji

- Tadeusz Barzdo  
Maksymilian Berezowski  
Andrzej Bilik  
Ewa Boniecka  
Zygmunt Broniarek  
Marian Dobrosielski  
Ryszard Drecki  
Grażyna Dziędzińska  
Stanisław Głąbiński  
Eugeniusz Guz  
Rudolf Hoffman  
Marek Jaworski  
Tadeusz Jackowski  
Zdzisław Kamiński  
Aleksandra Kedaj  
Waldemar Kedaj  
Zbigniew Kot  
Ignacy Krasicki  
Zbigniew Leśnikowski  
Jerzy Łobman  
Anna Lulińska  
Daniel Luliński  
Włodzimierz Łoziński  
Franciszek Nietz  
Witold Olszewski  
Anna Piasecka  
Marian Podkowiński  
Zbigniew Ramotowski  
Zbigniew Safjan  
Zygmunt Słomkowski  
Janusz Stefanowicz  
Krystyna Szelestowska  
Karol Szyndzielorz  
Jerzy Tepli  
Jerzy Urban  
Maria Wągrowska  
Ryszard Wojna  
Grzegorz Woźniak  
Henryk Zdanowski  
Włodzimierz Żrałek

weryfikacyjnych w 1982 roku, których zadaniem było oczyszczenie redakcji prasowych, radiowych czy telewizyjnych z osób niepewnych bądź podejrzanych ideologicznie, publikujących w okresie Solidarności niewygodne dla władzy materiały. Redakcyjne czystki wykorzystywali nierzadko jako okazje do tego, by rozstrzygać osobiste konflikty i animozje, eliminując z dziennikarskiego grona swoich przeciwników czy inne osoby, wobec których żywili urazy.

Czy miejsce na „Liście Kisielea” dało do myślenia tym, którzy się na niej znaleźli? Można wątpić. – Trudno oczywiście wypowiadać się w ich imieniu, przykładowo Jerzego Urbana, Grzegorza Woźniaka czy Andrzeja Bilika, ale przypuszczam, że nie wzięli sobie tego jakoś specjalnie do serca – uważa Sebastian Ligarski. – Czytając różne materiały ich autorstwa, nie zauważyłem, żeby w jakikolwiek sposób się do tej listy odnosili. Robili swoje, czyli to, w co wierzyli, a ona ich w pewien sposób nawet nobilitowała.

**„OTO LISTA NAJBARDZIEJ OBRZYDŁYCH KŁAMCÓW”**

„Moje typy” z 1984 roku są znane najbardziej, ale nie były pierwsze. Według Mariusza Urbanka takie listy Kisiel układał wręcz systematycznie, z częstotliwością nawet kilku na rok, a zawierały one od kilkunastu do kilkudziesięciu nazwisk dziennikarzy prasy partyjnej. O jednej z opublikowanych list

Stefan Kisielewski wspomina w „Dziennikach”: „Rozmawiałem ze Stefanowiczem z PAX-u. (...) Zapytał mnie, jakie miałem kryterium, układając mój »poczet dziennikarzy polskich«. Odpowiedziałem, że miałem na myśli tych, którzy służą rosyjskiej racji stanu, definiując ją »dla sportu« lepiej nawet niż sami Rosjanie”. To wpis z 21 czerwca 1975, najpewniej więc chodzi tu o opublikowany niedługo wcześniej, bo w 5. numerze paryskiej „Kultury” z tamtego roku tekst „Czarna lista polskiego dziennikarstwa”.

Także bruliony „Dzienników” roją się od nazwisk dziennikarzy, którymi autor pogardzał. Również w formie listy, jak wpis z 28 grudnia 1972 roku: „Nienawidzę tych pismaków, to najgorsze co Polska ma – a ich psychiczna geneza kłamania to coś naj- →

przykrzejszego. Oto lista najbardziej obrzydłych kłamców: Górnicki, Wójcicki, Krasicki, Stefanowicz, Jaszuński, Dunin-Wąsowicz, Woyna, Korotyński, Małcużyński, Albinowski, Winiewicz (emerytowany wiceminister) etc. Okropni faceci – może ich tu chociaż uwiecznić”.

Rzeczywistość lat 80. była już inna. Doktor Zaremba przywołuje postać wprawdzie fikcyjną, lecz kapitalnie ilustrującą dziennikarskie postawy, dylematy i wybory tamtej epoki. – Świetnie to pokazał Andrzej Wajda w „Człowieku z żelaza” na przykładzie dziennikarza, którego gra Marian Opania – rozpijaczonego, przestraszonego, zestresowanego i piszącego serwilistycznie, jak życzą sobie przełożeni. Ale Winkel Wajdy na trzeźwo już tego robić nie potrafi. W latach 80. redaktor musiałby być bardzo na bakier z rzeczywistością, by nie był świadom tego, iż dokonała się czystka w środowiskach dziennikarskich, że wiele tytułów przestało się ukazywać, że funkcjonuje ostra cenzura. Jak tu nie zauważać, że ludzie ze złością wyłączają telewizję i nie kupują gazet? – pyta retorycznie historyk.

Postawy dziennikarzy afirmujących system w takich okolicznościach musiały irytować Stefana Kisielewskiego. Co do tego nie ma wątpliwości, ale też można by ułożyć znacznie dłuższą listę dziennikarzy, którzy zachowali się po prostu przyzwoicie. I po 1981 roku zaczęli pisać w tytułach specjalistycznych czy wręcz niszowych, ponieważ z czółowych mediów zostali wyrzuceni za to, że w latach 1980–1981 zerwali ze służbą reżimo-

### **– Ojciec nie skreślał ludzi. O odmiennych niż on poglądach, ale ideowi, ciekawili go. Interesowały go mechanizmy ludzi firmujących ustrój z przekonania – mówi Jerzy Kisielewski, syn Stefana**

wi. Taką postawą wykazała się duża część środowiska dziennikarskiego. Zapłaciła za nią zwolnieniami z pracy po wprowadzeniu stanu wojennego, nie przechodząc weryfikacji i padając ofiarami redakcyjnych czystek.

#### **LISTA SWOICH CZASÓW**

Od czasu publikacji „Moich typów” powstała niejedna podobna lista, inspirowana pomysłem Kisielewskiego, by wspomnieć tylko o najbardziej znanej „Liście Michnika” z 2008 roku. Z jednej strony świadczy to o żywotności tekstu Kisielewskiego, który mimo upływu lat funkcjonuje w świadomości i wciąż daje do myślenia. Z drugiej strony uwadze epigonów umyka fakt, że formuła „Listy Kisielewskiego” była grą z odbiorcą funkcjonującym w PRL-owskiej codzienności, czyli w warunkach ścisłej kontroli mediów.

– Obecnie do wypowiedzi Kisielewskiego często przymierzamy współczesne nam realia. Tymczasem nie tędy droga, by brać śmiertelnie poważnie wszystko, co pisał czy mówił Stefan Kisielewski. Mam wrażenie, że wraz z upływem czasu jest on coraz mniej rozumiany. By odczytać dziś poprawnie intencje autora, trzeba znać Kisielewskiego i czuć ducha tego, co pisał oraz ducha czasów, na które jego pisanie przypadło – przekonuje historyczka i badaczka publikacji Stefana Kisielewskiego, Cecylia Kuta.

Znamienne, że spośród 40 figurujących na „Liście” z 1984 roku nazwisk zaledwie jedno – Jerzego Urbana – znajdziemy w wydanym już w wolnej Polsce „Abecadle Kisielewskiego”, gdzie, wbrew temu, czego można by się spodziewać, o byłym rzeczniku prasowym ekipy Jaruzelskiego Kisielewski wyraża się może bez sympatii, za to z cieniem uznania. A i na temat Wiesława Górnickiego, na którym w „Dziennikach” używał sobie okrutnie, łącząc go tam niemiłosiernie („bałwan”, „idiota”, „użytkowa prostytutka”...), w „Abecadle” wypowiada się już w sposób nieporównanie bardziej wyważony i wręcz wyrozumiały („To jest uwikłany człowiek, ale dobrych intencji właściwie”).

– Ojciec nie skreślał ludzi – wyjaśnia Jerzy Kisielewski. – Ludzie o odmiennych niż on poglądach, ale ideowi, ciekawili go. Interesowały go mechanizmy ludzi firmujących ustrój z przekonania. Natomiast obiektem jego zainteresowania nie byli koniunkturaliści.

Jak sądzi prof. Habielski, „Moje typy” Kisielewskiego spełniały też funkcję zastępczą: – Ludzie, których w roku 1984 wyliczył Kisielewski, bywali także jego krytykami, którzy wytaczali najcięższe działa przeciwko temu, co głosił, a co było nie w smak władzy. Stefan Kisielewski zaś nie mógł odpłacać im pięknym za nadobne. Cenzura, tnąc jego teksty, wyrывała im polemiczne zęby. Mając świadomość tego, autor posłużył się polemiką w postaci zestawu nazwisk.

– Ojciec wchodził w polemikę z różnymi dziennikarzami, którzy jego zdaniem wypaczali obraz rzeczywistości zagranicznej i krajowej. Jednak to, co pisał, nie zawsze się ukazywało, gdyż było zdejmowane przez cenzurę. Stąd też m.in. taki – nazwijmy to – wyraz desperacji, by sporządzić listę swoich „ulubieńców” w taki sposób, by nikt nie mógł się przyczepić ani obrazić – potwierdza Jerzy Kisielewski.

Sens „Listy Kisielewskiego” odczytuje się nadal na wiele sposobów. Wieloznaczność i różnorodność interpretacyjna bywa w końcu cechą dzieł genialnych. – Po latach widać, na przykład czytając „Dzienniki” Kisielewskiego, jak realistyczna jest niejedna z jego ocen, jak racjonalne i trzeźwe są jego analizy. Mimo ewidentnych elementów prześmiewczych czy wręcz cynicznych. To taki trochę śmiech Kisielewskiego z ząbami. Za życia nieraz nie był rozumiany i taki też wydaje się teraz – podsumowuje dr hab. Cecylia Kuta. ♦